



K.P.
28.05.13

Daniel Ostrowski "O konkurencyjności tego, czego nie widać - cz. I"

Fahrenheit Crew

Żyjemy w ciekawych czasach.

Co rusz burza jakaś przez media przechodzi: a to, że ci nam dopieką, a to, że tamci dowalą. Państwo potrzebuje, byśmy pracowali dłużej, koncerny naftowe biją nas cenami ropy, wszystko drożeje i wszystko się komplikuje. Jesteśmy ściśnięci między interesem publicznym a interesem biznesu. Gdzie jest nadrzędny interes szarego człowieka, konsumenta? Toć mamy ochronę, mamy ustawy i nawet mamy taki specjalny urząd z długą nazwą i trudnym skrótem, który raz na jakiś czas spektakularnie przyłoży wielomilionową karę jakiemuś wrażemu przedsiębiorstwu. A co więcej, bywa, że ktoś, gdzieś, jakoś wpadnie na nowy, rewolucyjny pomysł, jak by ten nasz interes chronić lepiej. Szkoda tylko, że sposób wdrożenia pomysłu wygląda tak, iż w efekcie trudno oprzeć się wrażeniu, że to jednak inny interes na tej zmianie skorzysta.

Żyjemy więc w ciekawych czasach!

Tfu – splunąłby Rincewind. Po co nam to? Nudne są lepsze. Gdy niewiele się dzieje, pewność żywota jest większa. Nic istotnego się nie zmienia... nieważne nawet czy miałyby to być zmiany na naszą korzyść, czy na niekorzyść, byleby było stabilnie. I bezpiecznie. I nikt nie mydliłby nam oczu, że to przecież dla Was, drodzy konsumenci.

Chodzi o prąd. Taki elektryczny. Wiecie, kółeczko, dwie dziurki, tam trzeba wtyczkę dwubolcową wetknąć, by uruchomić praktycznie każde urządzenie. Towar pierwszej potrzeby, nasza codzienna podpora, niegdysiejszy wskaźnik nowoczesności i rozwoju. Nie widać go, a jest, zaś jest wtedy, gdy płynie, metaforycznie rzecz ujmując. Nie da się go zapakować, czy zabutelkować (baterie i akumulatory pomijam). A państwo, poprzez należące do niego przedsiębiorstwa energetyczne, ma obowiązek nam ten prąd dostarczyć.

Ale niestety się porobiło... dziwnie. Namnożyło się bytów, podzielono między nie funkcje i obowiązki, mamy jakichś sprzedawców, dostawców, operatorów, wytwórców i firmy obsługujące, właściwie nie wiadomo: co i dlaczego. A jak się do tego dorzuci kwestię pozycji z rachunku za prąd, opłaty takie, opłaty siakie i owakie, to już bieda zupełna. Co z tego, że nam zagrzmia ładnie, że możemy teraz tańszego dostawcę wybrać i na rachunku zaoszczędzić? Ale jak? Konia z rzędem chłopu, który to wszystko wyrozumi.

Do zrozumienia tego chciałbym Was przybliżyć. Z góry przepraszam, bo wymaga to pewnych uproszczeń i uogólnień, które zapewne specjalista od rynku energii wytknąłby mi szybko i rozwekle. Tylko, widzicie, różnica jest taka, że specjalista wytłumaczyłby rzecz szczegółowo, szeroko i dogłębnie, ale raczej mało zrozumiale. W tym, mam nadzieję, tkwi moja przewaga.

Od czego więc zacząć? Najlepiej od złotych czasów, gdy odbiorca nie musiał nic rozumieć, tylko grzecznie czekać na rachunki i płacić je, najlepiej gotówką w biurze obsługi klienta. Wtedy wszystko było prostsze, każdy wiedział, że gdzieś tam, w pobliżu, egzystuje jakiś miejscowy Zakład

Energetyczny, który kompleksowo zajmuje się wszystkim. Jak trzeba, to do sieci podłączy, licznik zawiesi, będzie regularnie odczytywał, rachunki wystawi i windykację uruchomi, gdy nie zapłacimy. Jak prądu nie ma, dzwoniemy do Zakładu. Jak latarnia nie świeci albo gałąź zerwie druty – dzwoniemy. Jak nam telewizor spali od przepięć (niezachowanie parametrów) – także.

Kto się chwilę zastanowi, ten dojdzie, że za tym zakładem musi być coś więcej. Ktoś ten prąd produkuje, o elektrowniach słyszeliśmy. Ale – oni się pewnie jakoś między sobą rozliczają i gra gitara. Ktoś też musi prąd przetransportować z elektrowni do miejscowego zakładu, trudno oczekiwać, że on sam się tym zajmie. Olbrzymie linie wysokich napięć widzieliśmy, to nam coś świta. Ale wiedza ta, tak naprawdę, do niczego nam nie jest potrzebna, bo z każdą sprawą i tak zasuwamy do naszego Zakładu.

I wtedy (tchnęło grozą) budzi się UNIA! Ta Europejska, znaczy się. Komuś, mianowicie, strzeliło tam do głowy, że taki Zakład Energetyczny to jest ZUY monopol, bo jego klienci nie mają możliwości wyboru. W zasadzie słusznie. Wymyślono rozwiązanie problemu. Zgrabne. I piekielnie skomplikowane w szczegółach oraz cholernie trudne do ogarnięcia dla przeciętnego zjadacza chleba, niestety.

Z działalności Zakładów Energetycznych wydzielono pewną wirtualną część, nazywaną obecnie obrotem bądź sprzedażą energii elektrycznej. Co to jest? Trudno zbudować, bez wchodzenia w specjalistyczne nazewnictwo, pozytywną definicję. Spróbujmy więc zdefiniować ten obrót negatywnie.

Ważną rolę w systemie elektroenergetycznym kraju spełniają obecnie Operatorzy Systemu Dystrybucji (dalej: dystrybutorzy lub OSD), którym najbliższe jest do dawnych Zakładów Energetycznych. Co robi dystrybutor? Odbiera energię na danym terenie i fizycznie dystrybuje pomiędzy odbiorców. Zadanie nie jest proste, odebrana energia (w lwiej części z linii wysokiego napięcia) musi, niczym życiodajna krew, płynąć niepowstrzymanie przez skomplikowaną sieć stacji, transformatorów i kabli do odbiorcy, który przeważnie potrzebuje energii o niskim napięciu.

Wymuszają to parametry techniczne naszych domowych urządzeń (potrzebują one 230 lub 400 woltów). Oczywiście, wśród odbiorców energii bardzo duży odsetek stanowią firmy i zakłady produkcyjne, ale również one w znacznej części potrzebują prądu o niskim napięciu. A że odległość dzieląca odbiorców od wytwórców energii jest zwykle znaczna, trzeba ją na dany teren przetransportować. W tym celu buduje się linie wysokiego napięcia. Wysokiego, bo na nim najniższe są straty energii w trakcie przesyłu. Transport energii kablem niskiego napięcia na odległość kilkuset, czy nawet kilkudziesięciu, kilometrów byłby nieuzasadniony ekonomicznie i nie zapewniałby odpowiednich parametrów energii u odbiorcy.

Analogia do systemu krwionośnego jest więc dość oczywista i nader obrazowa: energia płynie grubą aortą (wysokie napięcie, 110 do 400 tysięcy woltów, a nawet więcej), potem transformatory rozmieniają ją na mniejsze tętnice (średnie napięcie, przeważnie 10 lub 20 tysięcy woltów) i znów transformatory, by wreszcie naczyniami włosowatymi (niskie napięcie, 400 woltów) energia docierała do poszczególnych odbiorców.

Usługa dystrybucyjna, świadczona nam przez OSD, polega więc na: ciągłej rozbudowie sieci, zapewnieniu, poprzez stacje i urządzenia, by energia miała odpowiednią moc i inne parametry (w ramach tak zwanego ruchu jest też pogotowie energetyczne), eksploatacji sieci (remonty, naprawy, unowocześnianie), podłączaniu nowych odbiorców, gospodarce licznikowej (z grubsza – zamontowaniu licznika u każdego odbiorcy), odczytywaniu liczników, rozliczaniu odbiorców za usługi dystrybucyjne oraz przekazywaniu odczytów do właściwych sprzedawców energii (w tym kryją się zadania związane ze zmianą sprzedawcy, o czym szerzej w dalszej części artykułu).

Z tego wszystkiego wynika, że dystrybutor, niczym dawny Zakład Energetyczny, jest monopolistą naturalnym. Nie ma możliwości wybrania innego dystrybutora dla położonej w konkretnym miejscu nieruchomości, bo nie ma możliwości, by dwóch dystrybutorów budowało na tym samym terenie konkurujące ze sobą sieci. Od tej zasady są pewne drobne wyjątki, ale pomijalne w rozważaniach o dystrybucji jako mechanizmie.

Z faktu, że dystrybutor jest monopolistą, wynikają pewne konsekwencje. OSD musi traktować wszystkich odbiorców tak samo, niemożliwe jest faworyzowanie ze względu, na przykład, na sytuację ekonomiczną. Przejawia się to w identycznych zapisach umownych dla wszystkich odbiorców danego dystrybutora oraz w identycznych cenach za usługi dystrybucyjne (z wyjątkiem różnic pomiędzy grupami taryfowymi, o czym szerzej w dalszej części artykułu). Rynek energii jest regulowany, taryfę OSD (w tym cennik) zatwierdza Urząd Regulacji Energetyki.

Czym więc jest nasz obrót energią? Wszystkim innym.

Sprzedawca energii, w tej chwili są to osobne przedsiębiorstwa, zajmuje się energią jedynie wirtualnie, nie dotyka jej w taki sposób, jak dystrybutor. Kupuje ją wirtualnie u wytwórców, zawiera umowy z odbiorcami i równie wirtualnie sprzedaje im prąd. Warto zwrócić uwagę, że nie jest to działalność zupełnie nierzeczywista i pozbawiona ryzyka. Sprzedawca musi odpowiednio zbilansować obie strony rachunku. Ponosi on ryzyko straty, jeśli zakupi więcej energii niż sprzeda. Natomiast, jeśli sprzeda jej więcej niż kupił, będzie musiał za tę różnicę zapłacić z własnej kieszeni i to po cenach, wcale niemałych, rynku bilansującego. A do tego dochodzą jeszcze kwestie zielonych certyfikatów, ekologicznej energii itp. Bilansujący rynek energii ogarnia wszystko.

Cała zmiana, cała ta feeria możliwości, jaką daje konkurencja na rynku energii, sprowadza się dla prostego odbiorcy do faktu, że musi wejść w stosunek prawny z dwoma podmiotami. Musi zawrzeć umowę dystrybucyjną i umowę sprzedażową. Pewnym ułatwieniem jest tutaj instytucja umowy kompleksowej, którą zawiera się tylko ze sprzedawcą, a ten świadczy odbiorcy również usługi dystrybucyjne, można by rzec, nabyte od dystrybutora (szerzej w dalszej części artykułu). Szczęśliwie, te dwa stosunki prawne chronią odbiorcę przed koniecznością układania się z pozostałymi uczestnikami rynku elektroenergetycznego. Kwestię przesyłu energii załatwia dystrybutor (pobiera stosowną opłatę i przekazuje OSP - Operatorowi Systemu Przesyłowego), a kwestię wytwórcy energii załatwia sprzedawca.

Taryfy sprzedawców, podobnie jak taryfy dystrybutorów, zatwierdza Urząd Regulacji Energetyki. Ta administracyjna regulacja nie oznacza jednak tłamszenia konkurencyjności obrotu energią. Zatwierdzona przez URE cena sprzedawcy oznacza jedynie górny możliwy pułap opłaty. Podmioty obracające energią nie mają, analogicznego do OSD, obowiązku równego traktowania swoich odbiorców. Mogą w dowolny sposób ceny obniżać, proponując atrakcyjniejszym, czy też pewniejszym partnerom niższe od taryfowych ceny i w tym właśnie tkwi *clue* do zrozumienia zagadnienia zmiany sprzedawcy, o czym szerzej w dalszej części artykułu.

I to by było wszystko, co powinien na wstępie wiedzieć przeciętny zjadacz chleba, nim zacznie zgłębiać treść swojego rachunku za prąd i zastanawiać się nad możliwymi sposobami jego obniżenia. Byłoby, gdyby nie jeszcze jedno zjawisko – firmy energetyczne obsługujące sprzedawców i dystrybutorów.

Ta kwestia nie wynika bynajmniej z takiej czy innej dyrektywy Unii Europejskiej, naszego krajowego

prawa czy wytycznych Urzędu Regulacji Energetyki. To jest najzwyczajniejsza, coraz bardziej powszechna moda korporacyjna, polegająca na wydzielaniu ze spółki określonego rodzaju działalności w postaci kolejnej spółki. Taki trochę outsourcing, w którym nie likwiduje się jakiegoś działu (ponieważ z różnych względów nie można – zwolnienia grupowe, związki zawodowe, gwarancje zatrudnienia) by kupować adekwatne usługi z zewnątrz, ale tworzy się z niego nowa spółkę, by od niej kupować dane usługi.

Ma to nawet uzasadnienie ekonomiczne. Bo przecież i sprzedawca ma swojego klienta, i dystrybutor ma swojego klienta. I to jest ten sam klient! Ale z zasady równego traktowania wszystkich sprzedawców wynika, że dystrybutor nie może świadczyć usługi obsługi klienta sprzedawcy (w drugą stronę i owszem). Dystrybutor może więc co najwyżej obsługiwać tylko swojego klienta, ale to jest działalność poboczna, dość luźno związana z istotnymi obowiązkami OSD, więc... zleca się ją komuś innemu. I coraz powszechniejszym zjawiskiem jest pojawianie się, w ramach koncernów czy holdingów energetycznych (w których egzystują i dystrybutorzy, i sprzedawcy, i nawet wytwórcy energii), nowych podmiotów – spółek obsługujących odbiorcę, zarówno od strony usług dystrybucyjnych, jak i sprzedażowych.

Nie byłoby w tym nic specjalnie zdrożnego czy ciekawego, gdyby nie wynikające z podziału zadań zamieszanie. I w efekcie, nader często odbiorca, próbujący osobiście lub telefonicznie załatwić jakąś, czy to dystrybucyjną, czy sprzedażową, sprawę (a najczęściej o podziale tym nie ma on zielonego pojęcia), odsyłany jest od Annasza do Kajfasza i odchodzi, w najlepszym razie, z mieszanymi odczuciami.

A tymczasem...

Przychodzi do mnie (albo dzwoni) przedstawiciel sprzedawcy i namawia do zawarcia umowy, tłumacząc, że za ten sam prąd, z tego samego kabla, płacić będę mniej i komu innemu. Co robić?

O procedurach zmiany sprzedawcy, związanych z nimi pułapkach i zagrożeniach oraz o tym, za co i komu rzeczywiście płacimy – w dalszej części artykułu.